

**XVII Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej
Kozienicki Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka – KOZIENICE 2019
Zbigniew Witosławski – kategoria dorośli – proza – II miejsce**

Godło: następca

Guzik

Gdyby guzików nie przyszywano tak niedbale, można by powiedzieć, że wszystko było zapięte na ostatni guzik. Wszystko oznacza tu tę uroczystość, uważaną przez tłum za ekscytującą, przez Krumla za edukacyjną, z którymi to opiniami w żaden sposób nie mogę się zgodzić, mając do wydarzenia stosunek jak najbardziej osobisty. Moim zdaniem to, co tu się dzieje, jest zupełnie niepotrzebnym marnotrawieniem czasu, energii i pieniędzy, publicznych pieniędzy. Chyba, że uda mi się to wykorzystać na swój sposób. Pstrokaty tłum gapiów, niczym niepoliczalne stado przebarwionych papug, wypełnia bez reszty czworobok rynku. Porównanie z papugami okaże się później, z zupełnie innych względów, niezwykle trafne, ale nie uprzedzajmy tego, co i tak nastąpi.

Gdyby moich skrępowanych rąk nie pilnowało dwóch rosnących i nadmiernie moim zdaniem umięśnionych drabów, z pewnością uznałbym za przyjemny żywiczny zapach świeżo przetartych sosnowych desek, z których sklecono w pośpiechu coś w rodzaju podium czy estrady. Jedyne solidnie wyglądające przedmioty to pień poczerniały od starości i krwi, którą przez lata był omywany oraz wyostrzony do granic możliwości topór, wyglądający tak, jakby mógł przeciąć wzdłuż unoszącą się w powietrzu nić babiego lata.

Gdyby nie to, że ma posłużyć do przecięcia zupełnie innej nici, do której jestem niezmiernie przywiązany, skłonny byłbym podziwiać perfekcyjne wykonanie tego narzędzia.

Nić mojego życia, do której jestem tak bardzo przywiązany... Czym przywiązany? Inną nicią? Cóż za niezgrabna metafora! Wyobraźnia podsuwa raczej obraz niezniszczalnej liny życia. Własnego. Cudze postrzega się jako wysoce niepewne, więc może i nić, ale własne, własne jest pewne, niewzruszone, a kończy się w tak odległej przyszłości, że nie sposób jej sobie wyobrazić. Przynajmniej do chwili, kiedy jest się przywleczonym przed oblicze kata, chociaż nie widzi się tego oblicza, tylko odsłonięte muskularne przedramię i potężną dłoń dziwnie dobrze pasującą do wcale nie topornego topora.

Pstrokaty tłum, jak stado dobrze wytresowanych papug, powtarza słowa Krumla, przysadzystego i przygłupawego władcy, każącego tytułować się imperatorem i karzącego z niezwykłą szczodroblewością.

Gdyby słowa wypowiedane przez Krumla i powtarzane przez papuzi tłum nie godziły w moją godność i cześć, gdyby nie szkalowały mnie w bezwstydnym sposobie, być może byłbym je tu zapisał.

Dwie białe plamy odcinają się od pstrokacizny tłumu. Celowo ubrano kata i jego ofiarę w białe stroje, by czerwień krwi była bardziej widoczna, a doznania widzów głębsze.

Gdybym mógł spojrzeć na to wszystko z pozycji widza, z odległości choćby stu metrów, zapewne nie zdawałbym sobie wtedy sprawy w jak komfortowej jestem sytuacji, nie znajdując się pośrodku sceny w roli głównego bohatera. Znajduję się jednak i zdaję sobie sprawę ze swojej, jak na mój gust nazbyt eksponowanej, roli. Cóż, historia wymaga poświęceń.

Czy można w takiej chwili zdobyć się na spojrzenie w przyszłość, choćby to miała być bliźniutka przyszłość, ot tylko minut parę? Może i nie bez racji nazywają mnie niepoprawnym optymistą, bo i w tym momencie coś pocieszającego odnajduję, coś co daje mi nadzieję na przebywanie wśród żywych może nie przez lata jeszcze, może nie przez miesiące, dni ani godziny nawet. Cóż, dobre i to, jak mawiają na widok ostatnich kropeł wina niespiesznie skapujących z odwróconej do góry dnem butelki. Mam jednak nadzieję, graniczącą z pewnością, że nie są to ostatnie krople, lecz niewysychające źródło życiodajnego napoju. Nadzieja granicząca z niepewnością, pewność granicząca ze zwątpieniem, przecież wszystko przewidziałem, zapiąłem na ostatni guzik.

Gdybym zobaczył w jednej chwili całe swoje życie, gdyby wszystkie obrazy, wspomnienia, dźwięki przeleciały przede mną jak pożółkłe liście niesione gwałtownym wiatrem, wtedy nie byłoby żadnej nadziei, bo oznaczałoby to, że drzwi zatrzasują się już za mną. Przecież wciąż żyję teraźniejszością, na wspomnienia nie mam nastroju ani ochoty a przede wszystkim nie mam wolnej chwili na to, bo zajęty jestem kombinowaniem, jak wyrwać się z tej niezręcznej sytuacji, jeśli plan nie zadziała. Jeszcze jeden optymistyczny akcent. Nie mam czasu się bać. Zawsze narzekałem na brak czasu, jednak ten brak jest zdecydowanie bardziej dokuczliwy. Jeśli nie zobaczyłem w jednej chwili całego minionego życia, znaczy to tylko jedno – plan działa.

Gdyby wszystko dało się przewidzieć, można by dokonać wszystkiego. Ja przewidziałem. Oto kat chwyta oburącz drzewce topora. Blask ostrza powoduje wybuch entuzjazmu tłumu. Niewiele potrzeba, by pokierować nastrojami tłumu. Aby bardziej teatralnie było, aby plebs dostał swoją dawkę rozkosznego drżenia, ekscytacji niezdrowej, zachwyty, co w teorii miałoby się przekładać na wzrost uwielbienia władcy, kat przeciąga czas egzekucji. Topora nie podnosi od razu, ale kilkakrotnie stuka nim o deski, unosi na wysokość swych piersi i obraca się prezentując zabójczą stal. Emocje wokół miejsca kaźni dochodzą do wrzenia, umysły zamroczone narkotykiem rzezi wyzbyły się resztek rozumu. Dobrze. Kat opuszcza topór. Teraz pieczołowicie i precyzyjnie układa moją głowę na pniu tak, aby szyja znalazła się dokładnie we wgłębieniu na jego środku. Ponownie chwyta

oburącz topór. Teraz to już nie przelewki. Czas kurczy się, zanika prawie. I oto topór unosi się ponad głowę kata, gotowy do ostatniego cięcia.

Gdybym powiedział, że nie wiedziałem wcześniej o dziwnym zwyczaju kata, skłamałbym. Oto topór wznosi się do ciosu tnąc ze świstem powietrze. Dokładnie w tej samej chwili gwiżdżę ostro i przeciągle. I dokładnie w momencie, gdy topór dociera prawie do zenitu, moja ulubiona papuga potężnym dziobem szarpie za guzik spodni kata. Niedbale przyszyty odpada, topór wnoszony nie zatrzymuje się w najwyższym punkcie, przechyla do tyłu trzymającego go człowieka, ten ratuje równowagę serią drobnych kroków, białe spodnie majestatycznie opadają. Czy wspominałem już, że jego dziwny zwyczaj polegał na nienoszeniu bielizny?

Gdyby nie można tak rozsunąć palców, by zasłaniając oczy i tak wszystko widzieć, zgromadzone wokół kobiety nie byłyby przekazały tym dalej stojącym, że w życiu nie widziały czegoś aż tak małego. Skrywany początkowo chichot brzmi coraz głośniejszy, ogarnia kolejne kręgi kobiet, a wraz z nimi ich mężczyzn, przeradza się w śmiech serdeczny, z samych trzewi płynący. Bo też i niespodziewany zwrot akcji i widok obnażonego nagle kata, że o tej maleńkiej rzeczy nie wspomnę, wywołuje efekt komiczny. Na to właśnie liczyłem. Papuga bez przeszkód rozsypuje węzły na moich dłoniach i stopach i oto jestem prawie wolny.

Gdybym moją papugę nauczył tylko tych paru czynności, byłaby podobna do wielu innych papug. Tę nauczyłem, jak uczyć inne papugi. Pojętna była. Jestem wolny, kat stoi z gołym tyłkiem, tłum pęka ze śmiechu, a chmara papug lata nad tym wszystkim wrzeszcząc precz z Krumlem. Zgodnie z planem. Ludzie pijani emocjami, oszołomieni śmiechem, krztusząc się powtarzają precz z Krumlem, co przez absurdalność sytuacji wywołuje jeszcze większe spazmy śmiechu i jeszcze większą chęć, by powtarzać obrazoburcze słowa. Nagle czują, że mogą to mówić bezkarnie, że nie muszą bać się kata.

Gdybym był tego wszystkiego nie wyreżyserował, nie byłbym teraz w centrum uwagi a bycie w centrum uwagi pozwala na wiele. Jedno jest pewne. Nie pozwolę, by nowy kat nie nosił bielizny.